

665

Tego dnia do teatru nie można było się dostać. Zaproszenia sprawdzano skrupulatnie, bo i z tymi był kłopot. Biletów na spektakle premierowe dawno nie było, także dlatego, że widownia została uszczuplona przez podest ciągnący się od sceny po ostatnie rzędy teatralnych foteli. Kiedy pojawiają się trzeba będzie zapłacić za nie po 1000 złotych, gdyż na tyle Stary Teatr w Krakowie wycenił nagość swojej 'Albertynki' — Doroty Segdy, talent swego (chciałoby się rzec młodego, ale chyba już nie wypada) reżysera — Tadeusza Bradeckiego oraz wdzięk i umiejętności całego zespołu występującego w „Operetce” Gombrowicza.

Nie jest to cena wygórowana, skoro za tę sumę można na bazarze dostać już tylko marny ochlap mięsa, w państwowym sklepie pół kilo bananów, ewentualnie nie można kupić trzech „Folwarków zwierzęcych” Orweilla (po 280 zł) chyba że spod lady. „Operetkę” można prawie zawsze wróżyć powodzenie, bo to i tytuł, i Gombrowicz, śpiewy i nagość, a w Krakowie dodatkowo Stary Teatr, teatr dobry, Tadeusz Bradecki, zdolny, Jan Peszek jako Fior, Tadeusz Huk jako Szarm itd. I choć za tę cenę nie będzie można już obejrzeć drobnych i wdzięcznych perturbacji premierowych, które koniecznie muszą się zdarzyć, bo inaczej nie byłoby prawdziwej premiery, to banalnie byłoby wróżyć „Operetce” powodzenie.

Z kronikarskiego obowiązku dodam, że tym razem na premierze krakowskiej Ewa Lassek spadła ze wspomnianego już podestu, gubiąc swą księżęcą koronę, ale wybrnęła z tego z ściągniętą himalajowskim spokojem. Urwał się też baronowi Firuletowowi (Stefan Szramel) ze smyczy jego złodziejasek, ale jako wierny pies swego pana złapał smycz do pyska, przeprosił, w zęby i ścigał się ze swym przeciwnikiem (w roli złodziejasek Piotr Skiba i Tomasz Obara). Tradycji stało się więc zadość.

I tak się to toczyło. Zarówno poknięcie księżny Himalaj jak i złodziejasek zerwany ze smyczy równie dobrze mogły uchodzić za pomysły reżysera, gdyż po Bradeckim wiadomo, że czyta wszystko, a już przed wyreżyserowaniem „Operetki”

Nagość

Agnieszka Baranowska

przestudiował całego Gombrowicza, w którego „Ferdurdurke” (i nie tylko) tegowieczny mistrz Fior — Jan Peszek — występował niegdyś w telewizji. To przypomnienie jest ważne, gdy dochodzi do zakończenia tej „Operetki”, gdy rozbawiony tłum wielbi nagą Albertynkę, a Huk i Peszek ścigają się po podeście w żywiołowych biegach, a wreszcie Peszek staje na rękach i Huk wali go w pupę. No i jest Gombrowicz. Mądry i infantylny, irytujący i fascynujący, prawdziwy, nasz, polski i patrzący z dystansu zza oceanu na ten tłumek polski. Jest „Operetka” Bradeckiego śmieszna i smutna, prawdziwa i karykaturalna, przybliżona do naszej europejskiej rzeczywistości dwudziestego wieku i pokazująca w krzywym zwierciadle co „wiatr historii” zrobił z naszą epoką.

Dużo mieści się w tej konwencji: młodzieńcze wyścigi Szarma i Fiora w radosnym zachwycie nad dotar-

ciem do „nagości”, oswojeniem z konwenansów, póź, mfn, gestów, pełna godności głupota księżstwa Himalaj (Ewa Lassek i Andrzej Kozak) wiodących w śmiertelnie poważny sposób dysputę nad tym, czy rzeczywiście „dupa”, za przeproszeniem — to Gombrowicz, pańska, arystokratyczna jest taka sama jak lokajka, totalna głupota ślicznej Albertynki śniącej swój sen o nagości i męskiej ręce za wycięciem sukni. Głupota, megalomania, owczy pęd, cielecy zachwyty tłumem upajającego się swymi kolejnymi bohaterami: hrabią Szarmem, mistrzem Florem, baronem Firuletem i podszuwającym się pod hrabię Hufnagiela, dawnym służącym czekającym na swą chwilę zemsty (Jerzy Gralek).

To my, to my, to my. To my, Polacy, pawł ogon i głos papugi, czy chcemy czy nie chcemy przeglądamy się w krzywym zwierciadle Gombrowicza. To zwierciadło zresztą jest fizycznie na scenie, a raczej po jej



Próba „Operetki” Witolda Gombrowicza w Starym Teatrze w Krakowie
Fot. Stanisław Markowski

drugiej stronie połączonej z właściwą tym długim pomostem, którym łoczą najpierw z kościoła księstwo Himalaj i ich goście, potem przechodzą pary balowe, wreszcie ścigają się Szarm z Florem. Ten długi pomost przez całą salę Starego Teatru składany w dwóch miejscach jak most zwodzony podczas przerwy, przed i po spektaklu, dzieli widownię na dwie części. Siedzieć trzeba bokiem, aby zorientować się w akcji, kręcić głową, aby ułoić wszystkie niuanse gry aktorskiej, być może tak jest nawet bardziej po gombrowiczowsku.

Na scenie właściwej, konwencjonalnej, w tyle, mieści się orkiestra, ale dyrygent w pewnym miejscu rządzi też swymi duszami także z góry, z balkonu, gdzie mieszczą się teatralne światła. Na scenie właściwej Szarm czeka na laweczkę na Albertynkę wychodzącą z kościoła (drzwi kościelne znajdują się po stronie przeciwnej, za nimi w drugim akcie pokazuje się to nasze zwierciadło). Tu odbywają się sceny pucowania butów kretyńskiej arystokracji przez szykujących się do awansu społecznego lokajów. Tu lokaje śpiewają swe wywołujące dreszcze grozy piosenki o pucowaniu. Tu w finale na ciemnym niebie zapalają się jak w filmie science-fiction tajemnicze gwiazdy i znowu szczęśliwy tłum wraca do życia patrząc na urodziwą, odrzucającą „strój” Albertynkę. Ale ona pokaz swej piękności wykonuje po drugiej stronie, tam, gdzie dawaję były drzwi z ukrytym zwierciadłem i skąd kolejno pojawiali się przed oczami zachwyconej publiczności (tej z Gombrowicza i tej przybyłej do teatru) kolejni bohaterzy tej „Operetki”.

A więc księstwo Himalaj. Damy i panowie, dający się łatwo wciągnąć w pułapkę przebrania się w hufnagielowskie worki, zachwyceni każdym, idącym na rzeź jak baranki. Albertynka z rodzicami. A więc Szarm. Tadeusz Huk jest męski, ma piękny, mocny głos. Aż smutno, że ten hrabia swej męskości nie wykorzystuje zastępy w geście, konwencji, masce, konwenansie. Huk w roli Szarma jest znakomity. Wystudowany w każdym geście, słowie i żałością prawdziwy. Przewrażliwiony, śmieszny, arystokratyczny, zamknięty w konwencji — nie ma chyba ani jednej słabszej, mniej doskonałej sceny, od pojedynku z Florem, zwady z Firuletem, po niemożność zagadania do chętniej Albertynki zanim nie zostanie jej przedstawiony. Szarm tak jak i księstwo Himalaj

przepięknie graserują. To ich francuskie „r” jest rewelacyjne.

No i jeszcze mistrz Fior. Peszek wejście ma wspaniałe. Odziany w przepiękne szarości, w eleganckim płaszczu, z przerzuconym luźno szalem puszy się przed publicznością, wykonuje drygi i podrygi, w pewnej chwili chce uciec, przerażony tym, w co wkracza, wreszcie śpiewa cieniowym głosem. Superelegancki, zakochany w sobie, delikatny, prawdziwy paryski dyktator mody jest też jedynym, który w tym tłumie zdobywa się na chwilę refleksji, ale i ta kończy się pełnym wdziękiem „nie nie rozumiem”. Pomiędzy tym wdziękiem, a tym „nie nie rozumiem” mamy przyspieszone losy polskiego księstwa Himalaj i jego dziwacznych, kretyńskich mieszkańców: bai, rewolucję, wykład o inteligencji czy inteligencie, syreny i czerń, a więc koniec pewnej epoki, br, nieprzyjemne.

Ta syrena sygnalizująca nadciągające zagrożenie (wojna? rewolucja?), zaciemnienie przechodzą w obraz tułaczki, zagubień i nieszczęść, a nawet tragedii. Z tłumku robi się tłum, szary, żalony, wcale niemięśny. Przypominający tamten z „Pieszko” Mrożka. Dobrze, że pojawiają się, Szarm i Firulek ze skrzynią, przybrani w śmieszne wieńce na głowach, trochę jak z upadku cesarstwa rzymskiego, trochę diabłscy. Dobrze, że zmartwychwstanie Albertynka i zapanuje znowu radość, ale już inna, chyba zjedna.

Zanim wyjdziemy z teatru pomysłmy jeszcze o muzyce Stanisława Radwana, bo bez muzyki „Operetka” nie może istnieć. Szkoda, że nie każdy krytyk teatralny ma słuch muzyczny i w związku z tym uczone rozprawy musi pozostawić fachowcom. Ale i ten głuchy, zapamięta wykreowany przez Radwana lot i brzęczenie muchy. Jam Fior. Jam Szarm. To on. To my. A to parę uwag po obejrzeniu nie zawsze śmiesznej „Operetki” w reżyserii Tadeusza Bradeckiego.

Stary Teatr w Krakowie, Witold Gombrowicz, Operetka, reżyseria Tadeusz Bradecki, muzyka Stanisław Radwan, kierownictwo muzyczne Mieczysław Mejza (także dyrygował orkiestrą), scenografia Barbara Hanicka, konsultacja choreograficzna Zofia Węclawówna.